



JAN
GRZEGORCZY
K

Piekło i niebo

Jeśli jest tak, jak twierdzi Hitchens, że Matka Teresa była największą hipokrytką XX wieku, wówczas należy zrewidować poglądy na hipokryzję i uznać ją za główną cnotę

Święci zweryfikowani, John Thomas

Otworzyłem seledynową kopertę. W górnym narożniku nadawca narysował długopisem palącą się pośród liści świeczkę. Wewnątrz zamiast listu znalazłem okładkę mojej ostatniej książki, a na niej skreślone grubym czarnym flamastrem zdanie: „O takich jak pan Jezus mówi, żeby im założyć kamień u szyi”. Podpis: M. Guzel. Niby się podpisał – on? ona? – ale bez adresu, a nazwiska bez adresu i tak pozostają anonimami.

Sięgnąłem po pudełko z napisem: „piekło”. Wrzucałem do niego wszystkie listy od czytelników, w których grozili mi z racji mojego pisania potępieniem bardziej czy mniej wiecznym. Obok niego stało pudełko z napisem „Niebo”. Tam trzymałem korespondencję z podziękowaniami – dowody, że moje pisanie komuś się na coś przydało. Większość listów przychodziła w poczcie elektronicznej, czasem je drukowałem i wrzucałem na swoje miejsce, ale nie robiłem tego konsekwentnie.

Włączyłem komputer. Między dzisiejszymi mejlami zobaczyłem „Izabelę”. Napisała do mnie parę tygodni wcześniej, że moja książka uratowała jej w sensie dosłownym życie. Sięgnęła po nią w chwili rozpacz i znalazła dla siebie nadzieję. Postanowiła odejść w noc wigilijną. Miała przy łóżku przygotowaną szklankę wody i mnóstwo nasennych tabletek. Czuła się przeklęta. Przeżyła koszmar, o którym nie ma jeszcze siły pisać. List był krótki. Kilka słów skrywało ogromny ból i piękno. Niesłychana wrażliwość. Odpisałem jej, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie jej ochota napisać o sobie coś więcej, będę uradowany.

Tym razem mejl był dłuższy.

Do Pana książki raczej nie pasuję, chyba że jako postać negatywna. Nie chodzę do kościoła i nie wiem, czy wierzę w Boga. Chciałabym wierzyć,

ale za dużo w katolicyzmie jest sprzeczności. Pisze Pan, że interesuje Pana człowiek. To widać. Zazdroszczę Panu tego camusowskiego postrzegania dobra w każdym. Niestety ja tak nie potrafię. Znam ludzi, znam również ich psychikę (duszę?). I niestety moja wiara w ludzi jest bardzo mała. To nie znaczy, że jestem samotnikiem. Nie, wokół mnie jest bardzo dużo ciekawych, przyjaznych mi ludzi, ale nie pozwalałam im za bardzo się zbliżyć. Pisze Pan, że Jezus kazał cierpieć Faustynie, a ona nazywała cierpienie termometrem miłości. A ja nie wierzę, że cierpienie uszlachetnia. Wprost przeciwnie. Człowiek po traumatycznych przeżyciach przestaje ufać, otacza się pancierzem i coraz mniej osób do siebie dopuszcza. Człowiek po cierpieniu ma żal, niechęć, a czasem nawet nienawiść do ludzi, do Boga, a najczęściej do siebie. A jak siebie nie lubimy, nie potrafimy dać miłości innym. Kiedy jesteśmy szczęśliwi, wtedy czujemy empatię, współodczuwamy, chcemy przytulić cały świat.

Nie wiem, czy doczyta Pan te moje wypociny do tego miejsca, ale chcę opowiedzieć Panu coś, o czym nigdy nikomu nie powiedziałam. To zdarzenie do tej pory jest dla mnie niewytłumaczalne. Było dziwne i jakieś ezoteryczne, a ja jestem pragmatyczką. Cztery lata temu poszłam z koleżanką do księgarni. Był maj. Potwornie lało. Uwielbiam deszcz, moim włosom to nie szkodzi, bo same się układają, i byłam okropnie przemoczona. Dorota szukała jakichś książek, ja swojego ukochanego Twardowskiego. Może gdyby tacy byli księża, chodziłabym do kościoła, ale on jest jakimś wybrykiem natury. No więc z naręczami literatury podeszliśmy do kasy. W pewnym momencie do sklepu wszedł ksiądz, a za nim mężczyzna. Na oko miał trzydzieści parę lat, wysoki, kasztanowe włosy do ramion. Poczulałam na sobie jego wzrok. Odwróciłam się. Zdziwiłam się, bo nie miał parasola, a nie był przemoczony. Stał przy drzwiach i patrzył na mnie z tak ogromną miłością, zachwytem, akceptacją. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Zdarzały mi się wiele razy w życiu miłe spojrzenia, ale to było niesamowite. Podeszła koleżanka. Pokazałam jej tego mężczyznę, ona spojrzała i szepnęła: „Ale on na ciebie patrzy”. Kiedy pani w kasie zaczęła podliczać moje zakupy, zapytałam ją czy zna tego pana, który wszedł za księdzem i stoi przy drzwiach. Kobieta spojrzała w kierunku drzwi, potem na mnie i powiedziała: „Proszę pani, przecież tam nikogo nie ma, do sklepu wszedł tylko ksiądz”. Przestraszyłam się, zapłaciłam i ruszyłam do wyjścia. Nikogo już nie było. Nie mam halucynacji, nie piję, bo jestem uczulona na alkohol, nie zażywam żadnych leków. Nie umiem sobie tego do dziś wytłumaczyć. Co to było? Próbuję zapomnieć o tym zdarzeniu, ale nie

mogę. Jest jak powracająca fala. Zapewne po tym, co napisałam, uznają mnie Pan za osobę, mówiąc delikatnie, nie zrównoważoną psychicznie, ale ze mną jest naprawdę wszystko w porządku, a poza tym nigdy nie kłamię. Nawet w drobiazgach. Może często przez to w życiu przegrywam.

Co Pan sądzi o tym zdarzeniu? Aha, właściwie wyraziłam się nieprecyzyjnie, że nikomu jeszcze o nim nie opowiedziałam poza Panem. Po wyjściu z księgarni byłam przerażona. Koleżanka zostawiła mnie samą, bo biegła do dzieci. Weszłam do znajdującego się kilkadziesiąt metrów obok klasztoru franciszkanów. Powiedziałam, że chcę rozmawiać z jakimś księdzem. Po chwili przyszedł młody, ciepły, budzący zaufanie zakonnik. Opowiedziałam mu tę historię, spytałam, czy może mi to wyjaśnić. Popatrzył na mnie i powiedział tylko: „Dziecko, wierzę, że jesteś wybrana. To łaska, nie bój się”. I nic więcej już pomimo moich nacisków nie zdołałam z niego wydusić.

Przepraszam, że tak się rozpisalam.

Jeszcze raz dziękuję za książki i za to, że Pan jest. Czekam na każde Pana słowo. Izabela.

Wstałem od biurka, żeby zaparzyć kawę. Niezbyt rozsądne przy moim nadciśnieniu. I tak byłem już dość rozemocjonowany.

Usiadłem w fotelu, spojrzałem na wiszący na ścianie portret mojej ukochanej świętej – wedle kościelnej nomenklatury, dopiero błogosławionej – Matki Teresy z Kalkuty. Odwzajemniłem jej uśmiech. „Co sądzisz o tym?” – spytałem. „Nie wiesz?” – podsumowałem jej tajemniczy uśmiech.

Dziwne. Jeden ze świadków wydarzenia je potwierdza, a drugi – czyli sprzedawczyni – zaprzecza. Jeśli by koleżanka podtrzymała swoje zeznania, że widziała dziwny wzrok człowieka o kasztanowych włosach skierowany na Izabelę, świadczyłoby to, że był on postacią realną, a jednocześnie skoro nie widziała go sprzedawczyni, to znaczy, że było to doświadczenie realne, ale nie dla wszystkich.

Zastanawiałem się też, czy koszmar, o którym napisała mi Izabela w pierwszym liście, nastąpił po spotkaniu człowieka o kasztanowych włosach czy przed nim.

Zasiadłem ponownie do komputera.

Droga Pani, zdarzenie, które mi Pani opisała, jest fascynujące. Czy mogłaby mi Pani wyjawić, czy po tym spotkaniu nastąpiły w Pani życiu

jakieś inne zdarzenia, których mogło być ono zapowiedzią?

Cieszę się, że lubi Pani księdza Twardowskiego. Spotkałem się z nim kilka razy i przeprowadziłem wiele rozmów. Poślę Pani jedną z nich. Niech dobry duch księdza Jana krąży między nami.

Posłałem jej wywiad, w którym ksiądz Jan mówił cudownie o tym, że na świecie nie ma nieszczęść, lecz tylko doświadczenia, których sensu najczęściej tu na ziemi nie poznamy. Pomyślałem, że opatrnościowo się składa, że Izabela ceni księdza Twardowskiego.

Odpowiedź przyszła wieczorem:

Dziękuję, dziękuję. Nie sądziłam, że znajdzie Pan dla mnie tyle czasu. Rozmowa z Twardowskim – fascynująca, ale nie ze wszystkim, co mówi, się zgadzam. Na przykład zupełnie inaczej myślę o smutku i samotności. Nie zgadzam się, że smutek i samotność są dobre. To najgorsze rzeczy, jakie mogą się przytrafić. Tylko nieliczni mogą dostać łaskę kochania absolutu. A tacy zwykli ludzie (jak np. ja) potrzebują tu i teraz miłości, akceptacji, tego grania w duszy. I chcemy, żeby dał to nam drugi człowiek, natura, sztuka.

Na pewno po przeczytaniu tych moich wypocin uzna je Pan za bzdury. Ale ja piszę to, co czuję.

Niebo (jeśli jest) jest daleko, a ja, jak śpiewał Bajor, chcę przeżyć trochę raju na ziemi, chcę, żeby moja dusza była rozgrzana. Pewnie nie zna Pan piosenki *Ogrzej mnie*.

„Memu ciału wystarczy
trzydzieści sześć i sześć,
mojej duszy potrzeba znacznie więcej,
Memu ciału wystarczy
coś wypić i coś zjeść,
trochę pospać na boku czy na wznak
...moja dusza niezmiennie prosi tak:
Ogrzej mnie...”

Pyta Pan o koleżankę. Tak, ona cały czas potwierdza tamto zdarzenie. Tylko że na nią ten człowiek spojrzał obojętnie, a może nawet raczej z niechęcią. Na mnie spojrzał z miłością, jakiej nigdy nie odczułam, w tym spojrzeniu był... podziw. Patrzył na mnie jak na Kohinoora. Nie potrafię opisać tego spojrzenia, bo ono było nieludzkie.

Mam nieśmiałą propozycję. Gdyby Pan był kiedyś w Kazimierzu, zapraszam. Podaję swoje numery telefonów.

Proszę się czuć całkowicie bezpiecznie jako mężczyzna. Jestem mężatką

i nie poszukuję przygody romantycznej. Nie jest to w żadnym wypadku propozycja z gatunku romansu. Interesuje mnie Pan wyłącznie jako pisarz duchowy.

Niestety, w mejlu nie było słowa odpowiedzi na pytanie, czy zdarzenie w księgarni poprzedzało traumatyczne doświadczenie, po którym czuła się przekłeta, czy następowało po nim. I co to znaczy Kohinoor? Gdzieś spotkałem się z tą nazwą. Wrzuciłem hasło w google.

W koronie brytyjskiej królowej Elżbiety II znajduje się jeden z największych, a przez długi czas największy diament, jaki odnaleziono w dziejach świata. Kohinoor, czyli góra światła, obrósł legendami.

W koronie Windsorów znalazł się po przywiezieniu go z Indii, gdzie został znaleziony. Legenda mówi, że kamień leżał na czole porzuconego nad brzegiem rzeki Jamuna chłopca. Był tak piękny, że wieśniacy, którzy go znaleźli, natychmiast zanieśli go wraz z dzieckiem na dwór radży. Tam postanowiono, że wspaniały, liczący 600 karatów klejnot zostanie umieszczony w posągu boga Śiwy. Kiedy go tam umieszczono, chłopiec, który jak się okazało, był synem boga słońca, rozpląnął się w powietrzu. Ponoć od tamtej chwili wszyscy mieszkańcy kraju cieszyli się dostatkiem i szczęściem. Po kilku latach jednak kamień został skradziony i szczęście odeszło wraz z nim. Rozpoczął się czas ponury i groźny. Kamień zaś, który uniósł ze sobą złodziej, niesie ze sobą klątwę Śiwy, któremu był przeznaczony. Tyle mówi legenda.

Historia opowiadana przez uczonych jest nieco inna. Podobno Kohinoor znaleziono w roku 1100 w miejscowości Golkonda w stanie Andra Pradesh. Był olbrzymi. Miał wielkość kurzego jajka. Ponoć niedługo po odnalezieniu diamentu kopalnia się zawaliła. Zginęło w tej katastrofie mnóstwo górników. Od tamtej chwili zaczęto mówić, że diament przynosi nieszczęście...

Przebiegłem tekst.

Dziś Kohinoor znajduje się w koronie brytyjskiej. Był tam już wtedy, gdy imperium się rozleciało jak domek z kart. Być może to nie koniec niespodzianek, które powoduje ten wielki brylant.

Uśmiechnąłem się, uzmysłowiwszy sobie, że chyba osobiście parę miesięcy temu właśnie ten diament widziałem, zwiedzając skarbiec królewski w londyńskim Tower. Ale widocznie ten najpiękniejszy na świecie brylant nie zrobił na mnie porażającego wrażenia, jak i inne wszystkie cudowności w owym skarbcu. W zachwyty wprawiają mnie

jedynie dziwy natury. Klucz ptaków na niebie jest dla mnie misterniejszym dziełem niż koronkowe prace weneckich złotników. Oczywiście nie zamierzałem o tym pisać Izabeli.

Zaproszenie zaczęło pulsować w mojej głowie. Przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze Izabela rozbudziła moją ciekawość. Chwytałem się po wielokroć na tym, że próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda. Czy można ulepić wizerunek człowieka na podstawie jego listów? Po drugie, wstyd przyznać, nigdy nie byłem w Kazimierzu, dla wielu osób najpiękniejszym miejscu w Polsce. Nie liczę krótkiego pobytu w tym mieście w ramach szkolnej wycieczki przed kilkadziesiąt laty, z której nic nie pamiętam. Był też powód trzeci, interesowali mnie ludzie, którym ukazał się Bóg.

Po paru dniach wysłałem mail o nadarzającej się okazji, która nie tyle się nadarzyła, co sam ją wymyśliłem.

Umówiliśmy się, że spotkamy się w Rynku. Kazała mi czekać obok pomnika psa. To ona miała podejść do mnie, znała mnie z fotografii. Ale kiedy zobaczyłem, jeszcze w oddali, wysoką kobietę o ciemnorudych włosach, w ciemnych słonecznych okularach, ubraną w czarną suknię w czerwone plamy, byłem pewien, że to ona. Pozostawiłem pomnik psa i ruszyłem jej naprzeciw.

Zanim powiedziała słowo, podała mi dłoń. Plamy na sukni okazały się makami. Rynek tonął w słońcu. Izabelę okalała poświata. zaproponowała mi, by pójść do jej ulubionej herbaciarni „U Dziwisza” bądź do restauracji „U Michalaka”, gdzie w ogrodzie można zjeść wspaniałe potrawy z grilla. Byłem głodny po podróży, więc zdecydowałem się na restaurację. Przecieliśmy jakiś skwerek, przeszliśmy mostek nad Grodarzem i znaleźliśmy się w ogromnym ogrodzie. W jego centrum stał klomb z kwiatami, a za nim przepiękny XIX-wieczny dworek szlachecki. W małej restauracyjce nabraliśmy sobie przy wejściu sałatek i zamówiliśmy potrawy. Ja pstrąga, a Izabela camembert z grilla w sosie żurawinowym. Wróciliśmy do ogrodu.

– Kiedy byłem tu ostatnim razem, dwa stoliki dalej, o tam, siedziała jakaś para. Kobieta cały czas dość głośno mówiła: „No powiedz, ożenisz się ze mną?”. Trwało to chyba z 15 minut. W pewnej chwili wstała siedząca przy stoliku obok młoda dziewczyna, podeszła do tych ludzi, uśmiechnęła się uroczo i bardzo miło i grzecznie powiedziała: „Proszę pana, niech pan

obietca tej pani to małżeństwo, bo ja chciałabym w spokoju zjeść”. To było piękne.

Tym razem wokół nas było pusto i cicho. Uśmiechnąłem się. Zapatrzyłem się w jej okulary, chcąc odgadnąć kolor jej oczu. Zreflektowałem się, że robię to zbyt natarczywie.

– Piękne okulary – powiedziałem tytułem usprawiedliwienia.

– Dziękuję. A propos okularów, nie napisałam panu jednego szczegółu. Sprzedawczyni w tej księgarni miała wtedy takie duże chromatyczne okulary. Odbijał się w nich cały sklep, także ten ksiądz, ale nie było w nich człowieka o kasztanowych włosach.

– Duchy i wampiry nie mają odbicia – wtrąciłem.

– No właśnie.

Zapadło milczenie.

– Proszę mi powiedzieć, czym się pani zajmuje na co dzień? Napisała mi pani, że zna psychikę człowieka.

– To nie jest ważne – uśmiechnęła się. – Mogłoby wypaczyć pogląd na mnie.

– To co pani kocha?

Roześmiała się.

– Dlaczego się pani śmieje? – nie rozumiałem jej nagłego wybuchu.

– Niesamowite. Właśnie chciałam panu powiedzieć, że to jest najistotniejsze pytanie. Czyta pan w myślach. – Izabela przez chwilę skupiła się na jedzeniu sałatki, jakby przeciągała odpowiedź. – Konie, kocham konie – powiedziała nagle. – Od dziecka... jeździłam na koniu, mając cztery latka. Nie ma nic równie pięknego jak koń. Wie pan, jak narodził się pierwszy koń? – Zaprzeczyłem ruchem głowy. – Bóg chciał stworzyć niezmiernie piękną istotę. Chciał stworzyć zwierzę, które służyłoby człowiekowi, a z jednocześnie było piękne, dumne i wolne. I po namyśle stworzył konia. Z mgły. I dlatego koń jest lekki, w galopie i cwale płynie ponad ziemią. Koń jest boski w swoim pięknie, delikatności i sile.

Patrzyłem na jej pełne ekspresji usta. Oczy – bramy duszy – były schowane za zasłoną okularów. Miałem wrażenie, że celowo ich nie

zdejmowała.

– A pan? – przerzuciła piłeczkę. – Co pan kocha?

– Ludzi. Jestem duchowym kanibalem. Czasem się jednak boję, czy bardziej od samych ludzi nie Kocham pisanie o nich. Kocham ludzi, bo uwielbiam pisać, czy piszę, bo ich Kocham? Nie wiem...

– Tak, to niebezpieczne.

Zamyśliła się.

– Pan jest genialny, ale jednej rzeczy nie mogę panu wybaczyć...

– Jakiej?

– Pana uwielbienia dla Almodóvara. Wyznał pan, że pisząc, słucha pan nawet muzyki z jego filmów.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Czasem tak... Odpowiada mi jego poczucie humoru i smutku – szukałem odpowiedzi na zarzut. – Jest bardzo subtelny...

– Nie interesuje mnie subtelność gnoi – zobaczyłem odrazę na jej twarzy. – Spalił żywcem dwieście owiec na planie swojego filmu. Kiedy się o tym dowiedziałam, przestało mnie kompletnie obchodzić, co robi. Tacy ludzie nie są artystami. Sztuka zwyrodnialców dla mnie nie istnieje.

– Jeśli to prawda... – chciałem wyrazić swą solidarność dla jej postawy.

– Jak to „jeśli”? – potrząsnęła głową. – Wszystkie gazety o tym pisały, w telewizji pokazywali pełno protestów – zagotowała się.

– Dobrze, dobrze – zacząłem ją uspakajać. – Ja nie bardzo oglądam telewizję. Myślę tak samo jak pani. Sztuka, która stwarza cierpienie i się nim karmi, nie zasługuje na to miano.

– Nienawidzę cierpienia... – powiedziała i zamilkła.

Postanowiłem zmienić temat. Almodóvar mógł rozbić nasze spotkanie.

– Chciałem panią o coś zapytać. O ile mogę – zacząłem się asekurować.

– Proszę...

– Czy ten dramat, który pani przeżyła... – świadomie nie użyłem słowa

koszmar – czy on się wydarzył przed czy po spotkaniu w księgarni?

Chwilę się namyślała.

– Po – odpowiedziała krótko i zamilkła. Zaczęły drżeć jej usta. Wstała.

– Przepraszam na chwilę – skierowała się do toalety.

Wróciła po paru minutach.

– Przepraszam, ale nie mogę nad tym zapanować.

– To nadal boli? Nie chce pani o tym mówić?

– Może chcę, ale na razie nie potrafię.

Przypatrywałem się jej dłuższy czas, jak paliła papierosa.

– Próbuję zasypać pustkę moimi końmi – wyznała nieoczekiwanie. – Ratuję konie. Wie pan, że nie ma nic cudowniejszego na świecie, jak wtulenie się w grzywę konia?

Rozłożyłem ręce w geście bezradności. Niestety nie znałem tego „najcudowniejszego uczucia”. Pewnie to wielki brak dla pisarza. Przypuszczałem, że musi być coś niesłychanie uwalniającego w tym dotknięciu czołem uosobienia siły i delikatności w jednym.

Kelnerka przyniosła nasze dania główne. Izabela dała znak, bym jadł.

– Proszę mi coś opowiedzieć o swoich koniach. Coś pięknego... – odezwałem się po paru kęsach. Chciałem zapalić w niej jak najwięcej świateł.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze, opowiem panu o Romciu i Julii. Romcio jako źrebak został zamknięty przez chłopca w ziemiance na kartofle. W kompletnych ciemnościach. Karmili go ziemniakami i poili soloną wodą. Przetrwał tak 10 miesięcy. Chodziło o to, żeby jak najszybciej przybierał na wadze, bo konia sprzedaje się handlarzom na wagę. Ważył 600 kg. Romcio to koń zimnokrwisty, ogromny, silny. Dotarła do mnie wiadomość o nim. Oczywiście od razu został kupiony. – Uderzyło mnie słowo „oczywiście”. Izabela powiedziała to tak, jakby wiadomość dotarła do samego Boga Wszechmocnego, albo przynajmniej potężnej królowej czy dobrej wróżki. Jakby cała sprawa sprowadzała się do tego, aby właściwa osoba

dowiedziała się, że komuś dzieje się krzywda. Korciło mnie, by zadać pytanie, skąd ma pieniądze na wykupywanie z niewoli swoich „nieszczęśników”. Uznałem jednak, że przynajmniej na tym etapie może być nietaktem. – Po przywiezieniu już do stałego miejsca pobytu i wyprowadzeniu z bukmana... – zauważyła zapytanie na mojej twarzy – to taka specjalna przyczepa do przewożenia koni – wyjaśniła – okazało się, że koń prawie nie widzi. Przez dwa miesiące trzeba było chronić go przed światłem. Kiedy został wypuszczony po raz pierwszy na pastwisko, po prostu oszalał. Patrzył tymi jeszcze chorymi oczami na trawę, niebo. Był zafascynowany światem, bo przecież wyszedł z ciemności. Jest wyjątkowo słodki, taki marzyciel, potrafi zatrzymać się i godzinami patrzeć na niebo, ptaszki, a najbardziej fascynują go motyle. Parę miesięcy po Romciu została uratowana klacz. Pochodziła z gór. Ciągnęła drzewa przy wycince lasów. To jest praca nawet dla konia zbyt mordercza. Dostała astmy, u koni nazywa się to dychawica. Otrzymała wyrok: rzeźnia. Julia to też zimnokrwisty, potężny koń. Leczona, na świeżym powietrzu, bez pracy, szybko doszła do siebie. I wtedy Julia, 16letnia kobyła, zakochała się w Romciu. Najpierw nieśmiało za nim chodziła, potem zaczęła odganiać od niego inne konie, nie pozwalała mu się bawić z kolegami, co Romcio początkowo uwielbiał. Po paru tygodniach stanowili już nierozłączną parę. I biedny Romcio stał się typowym pantoflarzem. Julcia cały czas go pilnuje, jest szekspirowsko zazdrosna. Potrafi mu zrobić piekielną awanturę, gdy tylko Romcio spojrzy na inną. Kiedyś sprąła go żelaznym wiadrem tak, że chłop parę dni leczył ramię.

– Jak wiadrem?

– Normalnie, schwyciła w pysk wiadro i zaczęła go nim okładać.

– Myślałem, że tylko małpy potrafią posługiwać się narzędziami.

Zamilkliśmy, przez chwilę znów skupiliśmy się na jedzeniu. Zatopiłem usta we wspaniałym czerwonym winie. Izabela piła wodę.

– Pani bardziej kocha konie niż ludzi? – spytałem.

– Kocham dobro, łatwiej mi je znaleźć u koni... u psów... u... –

Spojrzeliliśmy na przechodzącego majestatycznym krokiem czarnego kota.

– Jest mi obojętne, kto jest dobry. Człowiek czy zwierzę. Tak się jednak składa, że zwierzęta w tym względzie górują. Wolę dobre zwierzę niż złego człowieka – zabrzmiało to jak credo.

Postanowiłem uciec od tego tematu. Wyczułem, że dyskusja może stać się niebezpieczna.

– Chciałem jeszcze wrócić do sprawy Jezusa – Izabela nie zaprotestowała, przyjęła jako rzecz naturalną, że tak nazwałem człowieka o kasztanowych włosach, którego spotkała w księgarni. – Czy spotkała go pani jeszcze kiedykolwiek?

Westchnęła.

– Fizycznie nie. Przyśnił mi się tylko kościół. W środku był ołtarz, a po bokach dwie nawy. Z nawy po lewej stronie ołtarza wyszedł Jezus, wyglądający tak jak na świętych

obrazach. Twarz miał dokładnie taką samą jak ten człowiek w księgarni. Wziął mnie za rękę i poprowadził do środka. Stał tam mały, prostokątny stolik, nakryty białą serwetą z frędzlami. Na stoliku leżało pięć kamieni. To były kryształy górskie. Jezus wziął te kamienie, ułożył na

stoliku, najpierw trzy, potem dwa. Powiedział: „Zobacz, tu jest pięć kamieni, ale

pamiętaj, najpierw są trzy, a potem dwa. Razem pięć. Zapamiętaj”. To wszystko. Zapamiętałam, ale nic z tego nie rozumiem. Panu to coś mówi?

– Nie, ale pomyślę.

– Nie rozumiem... – powtórzyła. – Nie rozumiem, dlaczego On to robi. Niemożliwe, żeby kochał człowieka i pozwalał, żeby cierpiał. – Izabela zamknęła się w sobie. Zagryzała usta. – Po co On mi się pokazał? – wyszeptała. – A może to nie był On, tylko szatan. Tylko czy szatan potrafiłby tak spojrzeć na mnie?... To spojrzenie było Absolutem. Czuję się, jakby mnie zdradził. Dał spojrzenie miłości i porzucił. Wolałabym nigdy Go nie zobaczyć, ale ja Go widziałam. Pan mi wierzy?

– Wierzę – potaknąłem.

– To dlaczego mnie zdradził? – wyszeptała i przełknęła ślinę. – Pan jest pisarzem religijnym, niech mi pan wytłumaczy.

W normalnej sytuacji to wyznanie obróciłbym w żart, ale pomyślałem, że ona naprawdę pokłada we mnie nadzieję, iż wyjaśnię jej sprawę z dziedziny kontaktów człowieka z Bogiem. Jakbym z racji swego pisania był bliżej nieba.

– Wie pani, ja wielu spraw w wierze nie rozumiem. Zresztą nie tacy jak ja nie rozumieli i nie tacy jak ja tracili kontakt z Jezusem. Dla mnie takim cudownym znakiem jest Matka Teresa z Kalkuty. Wie pani, że ona prawie przez pięćdziesiąt lat miała „noc ciemną”?

– Co to znaczy?

– Zobaczyła Jezusa, skierował na nią swoje spojrzenie, a potem zniknął. W pewnym sensie to przypomina pani przypadek.

– I też przeżyła koszmar?

– W pewnym sensie – powtórzyłem. – Wezwał ją do wielkiego zadania, kazał zostawić zakon, w którym było jej dobrze, a potem ją opuścił. Przynajmniej ona czuła się odrzucona. – Widziałem, że Izabela na słowo „odrzucona” przymknęła oczy. – Ona, która wszystkim wydawała się wybrana, chodziła w ciemnościach, czuła się, jakby wszystko umarło. Były w niej tylko pustka i mrok.

– Są miliony odrzuconych...

– Tak, ale dopóki nie poznałem jej listów, Matka Teresa wydawała się najpiękniejszym uśmiechem, jaki Bóg dał światu w XX wieku. Jej oczy, jej piękna, poorana zmarszczkami twarz były dla mnie ważniejsze niż cała ohyda ubiegłego wieku. W jej twarzy, jak w kropli miłosierdzia można było obmyć całe zło świata. Myślałem, że tak wygląda twarz człowieka bezustannie widzącego Boga.

– To dziwne, nie znam za bardzo jej życia, ale czytałam w jakiejś gazecie, że to nie do końca tak. Podobno była hipokrytką i malwersantką. Pieniądzy, które dostawała dla swoich biedaków, nie przeznaczala na ich leczenie, tylko na rozwój swojego zakonu. Popierała dyktatorów i była zwariowana na punkcie walki z antykoncepcją. Nie słyszał pan o tym?

– Owszem, coś obilo mi się o uszy – odpowiedziałem i zamilkłem.

Pamiętam, że nawet kupiłem „Przekrój” z sensacyjnym artykułem *Zła święta*, ale nie doczytałem go do końca. Szczegóły uleciały mi z głowy, wiedziałem jedynie, że tekst był wyjątkowo podły i głupi. Może gdybym go wtedy lepiej przeanalizował, mógłbym łatwiej odeprzeć zarzuty.

– No i co dla mnie najważniejsze, nie dotrzymała obietnicy – odezwała się po chwili. – Podobno obiecała, że będzie umierać pośród swoich biedaków, a przed śmiercią wozili ją od jednej do drugiej luksusowej

kliniki.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami. Oskarżenie wydawało mi się bzdurą, ale nie wiedziałem, jak je obalić.

– A dla mnie ktoś, kto nie spełnia obietnic, jest niewiarygodny – powiedziała takim tonem, że ciarki przeszły mi po plecach. – Kieruję się zawsze zasadą: „Nie obiecuj, ale jak już coś obiecujesz, dotrzyj słowa”.

Chciałem jej powtórzyć słowa Matki Teresy, które znałem na pamięć: „Jeśli kiedykolwiek będę świętą, na pewno będę świętą od »ciemności«. Będę ciągle nieobecna w niebie, aby zapalać światła tym, którzy są w ciemnościach na ziemi”. Ale byłem pewien, że te słowa „niewiarygodnej świętej” niewiele by dla Izabeli znaczyły. Mogła jedynie wzruszyć ramionami. Postanowiłem w domu poczytać nieco przeciwników Matki Teresy. Zmieniłem temat.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Czy pani wracała do zdarzenia w księgarni w rozmowach ze swoją koleżanką?

– Tak, wiele razy.

– I co? Podtrzymywała swoje odczucia?

Izabela skurczyła się na to ostatnie słowo.

– To nie było odczucie.

– Wiem, wiem, proszę mi wybaczyć nieudolność słów...

Izabela skinęła głową.

– Dorota ciągle podkreślała – kontynuowała – że ten człowiek spojrzał na nią jakby z niechęcią. Poza tym ja go widziałam w czarnym długim płaszczu, a ona – w dzinsowej kurtce. To było niesamowite, ten ksiądz, który wszedł przed nim, starszy, cały był przemoczony, a on...

– Tak, tak, pamiętam to dokładnie... pisała mi pani. Zastanawiam się nad jednym. Jak pani sądzi, czy może byłoby niegłupim pomysłem, gdybym z nią... Dorota tak?... gdybym z nią porozmawiał?

Widziałem, że Izę zamurowało, ale zaraz uśmiechnęła się.

– Tak, oczywiście, oczywiście. Nie widzę przeszkód. Tylko nie mam przy sobie jej telefonu. Ona panu wszystko potwierdzi.

Podszedł kelner z zapytaniem, czy sobie jeszcze czegoś życzymy.

Oboje zgodnie podziękowaliśmy. Zapłaciłem rachunek, a potem poprosiłem Izabelę, żeby pokazało mi miasto. Chodziliśmy kilka godzin, niewiele rozmawiając. Byliśmy oczywiście tam, gdzie powinien trafić każdy niedzielny turysta, a więc zobaczyłem zamek, basztę, Kuncewiczówkę. Izabela robiła to dla mnie. Chciała, bym za pierwszym razem zaliczył podstawy. A gdy zaczęło zmierzchać, poszliśmy do Wąwozu Plebanka. Był koniec czerwca, wąwóz oświetlały miliony robaczków świętojańskich. Miejsce było magiczne. Gwiazdny pył niczym upadła galaktyka znajdował się na wyciągnięcie ręki. A i tak nieuchwytny.

Wiedziałem, że zaprowadziła mnie tam nieprzypadkowo. Ten wąwóz był jak szczelina jej duszy.

* * *

Po powrocie do domu odgrzebałem w kartonie „Przekrój”, którym kiedyś pogardziłem. Jakiś instynkt albo coś na kształt przeznaczenia sprawiło, że nie wyrzuciłem go do kosza. *Zła święta*. Człowiekiem, który jako pierwszy zaczął podważać legendę Matki Teresy, był amerykański dziennikarz Christopher Hitchens. W 1992 roku nakręcił film dokumentalny, który zatytułował *Misjonarska fucha*. Dowodził w nim, że Matka Teresa to fanatyczna przeciwniczka aborcji, która oszukiwała swoich darczyńców i pozwalała ludziom umierać w cierpieniach. Wedle Hitchensa świętość błogosławionej z Kalkuty to mit popkultury. Mit stworzony głównie dzięki filmowi Malcolma Muggeridge’a z 1969 roku – *Coś pięknego dla Boga*. Jego reżyser po spotkaniu z Matką Teresą przeszedł na katolicyzm.

Wedle autora artykułu świętość, czy też raczej wielkie oszustwo Matki Teresy, rozegrało się na planie filmowym. Ukazanie Kalkuty jako miejsca największej biedy na świecie, a jednocześnie uświęconego jej osobą, to jedna wielka mistyfikacja. „Megagwiazda dobroczynności” była mistrzynią od spotów reklamowych. Z jej kultowego powiedzenia, że „jeśli jest jakiś biedak na Księżycu, dotrzemy do niego”, niewiele wynikało. Na Ziemi nie przyjmowała do swego hospicjum ludzi, którzy mieli rodziny, nawet nędzarzy i umierających. Za to doskonale wiedziała, jak dotrzeć do możliwych tego świata. Przyjaźniła się na przykład z księżną Dianą. Poparła nawet jej rozwód, twierdząc, że małżeństwo czyni ją nieszczęśliwą. Podwójna etyka: dla bogatych i biednych. W roku 1996

specjalnie poleciała do Irlandii, żeby przed referendum agitować przeciwko prawu dopuszczającemu rozwody.

Na końcu artykułu znalazło się coś, co miało postawić kropkę nad „i” dziennikarskiego wyroku: „Arcybiskup Kalkuty przyznał, że tuż przed śmiercią Matki Teresy, 5 września 1997, poddano ją egzorcyzmom. Arcybiskup tłumaczył, że prześladował ją jakiś duch, co wcale nie podważa jej świętości. Ale teolodzy nie mają wątpliwości – Kościół zarządza procedurę egzorcyzmów tylko wobec opętanych”.

Poirytowany odłożyłem „Przekrój”, tym razem doczytawszy go do końca. Pomimo irytacji wystukałem w Internecie nazwisko Hitchensa. Znalazłem jego programowy wywiad *Matka Teresa w teorii i w praktyce*.

„Free Inquiry”: Zgodnie z wynikami badań opinii społecznej Matka Teresa była najbardziej szanowaną kobietą na świecie. Jej imię było synonimem bezinteresownego poświęcenia w służbie ludzkości. Czemu więc czepia się Pan tej świętej kobiety?

Christopher Hitchens: Częściowo właśnie dlatego, że to przekonanie jest tak powszechne. Ale również dlatego, że sam fakt uznawania go za całkowicie pewne i oczywiste wiąże się z kwestią, która mnie szczególnie interesuje: z łatwowiernością. Bezkrytyczna akceptacja Matki Teresy jako świętej przez ludzi, którzy normalnie myślą w sposób racjonalny, dobrze ilustruje powszechną skłonność do przyjmowania za dobrą monetę wszystkiego, co jest przedstawiane w aurze świętości. Innymi słowy uważa się, że takie przekonania nie muszą być weryfikowane...

Muggeridge był tak naiwny, że twierdził, że podczas kręcenia filmu miał miejsce cud. Jego zdaniem postać Matki Teresy otoczona była przedziwnym „łaskawym światłem”. To twierdzenie było obalone przez autora zdjęć do filmu: do nakręcenia wywiadu z Matką Teresą wykorzystano nowy rodzaj taśmy filmowej Kodaka, który służy do zdjęć w złych warunkach oświetleniowych. Światło wyglądało dość dziwnie i operator właśnie miał coś na ten temat powiedzieć, gdy Muggeridge przerwał mu i powiedział „To cud, to święte światło”.

Spojrzałem na portret Teresy, chcąc się usprawiedliwić ze swych lektur. Nie odczułem żadnego poparcia z jej strony. Ani zrozumienia. Trwała nieporuszona w swoim uśmiechu, który wydał mi się jakiś zmęczony. Jakby już miała dość.

Zdecydowałem przerwać lekturę Hitchensa i zatopić się w słowa Teresy. Chciałem zrzucić z siebie to obrzydliwe poczucie, że ją zdradzam.

Stwierdziłem, że muszę dokopać się prawdy o niej nie na poziomie faktów, fakcików, cytatów, cytacików, które każdy może sobie wyciągać z kapelusza, a ja nie mam żadnych możliwości albo chęci ich sprawdzenia. Jeśli mam ją odnaleźć, to raczej w jej oczach i w jej słowie. Sięgnąłem po książkę *Pójdź, bądź moim światłem*, która od kilku miesięcy leżała na honorowym miejscu na moim biurku. Otworzyłem na rozdziale dziesiątym zatytułowanym: *Zaczęłam kochać tę ciemność*. Był w nim napisany na prośbę jej spowiednika ojca Neunera list, który miał być spalony po przeczytaniu.

U loretanek, ojcze, byłam bardzo szczęśliwa. – Byłam chyba najszczęśliwszą zakonnicą. – Potem przyszło wezwanie. – Nasz Pan prosił wprost – głos był wyraźny i pełen przekonania... – W roku 1946 On prosił i prosił. – Wiedziałam, że to On. Strach i okropne uczucia, – strach, że mogę dać się zwodzić... przedłożyłam tę sprawę mojemu kierownikowi duchowemu – cały czas mając nadzieję, że on powie – to wszystko było diabelskim podstępem, ale nie – tak jak głos – on powiedział – to Jezus cię prosi. (...) Ojcze, od roku 49 albo 50 to straszliwe poczucie pustki – ta niewypowiedziana ciemność – ta samotność – ta nieustanna tęsknota za Bogiem... Ciemność jest taka, że naprawdę nic nie widzę – ani umysłem, ani rozumem. – Miejsce Boga w mojej duszy jest puste. – Nie ma we mnie Boga... Po co to wszystko? Gdzie we mnie samej jest dusza? Bóg mnie nie chce. – Czasem – słyszę po prostu jak moje serce krzyczy – „Mój Boże” – i nic się nie dzieje. – To tortury i cierpienie, których nie potrafię wytłumaczyć. – Od dzieciństwa miałam w sobie najczulszą miłość do Jezusa w Najświętszym Sakramencie – ale ona też znikła (...) Jeśli moja ciemność jest światłem dla jakiejś duszy – a nawet jeśli jest niczym dla nikogo – jestem całkowicie szczęśliwa – że jestem Bożym polnym kwiatem.

Czy tak mogła pisać hipokrytka? Czy hipokrytka meldowałaby o swych mrokach ludziom, którzy mieli czuwać nad jej duchem?

Usłyszałem cichutki gong w komputerze zwiastujący nadejście przesyłki elektronicznej. Najechałem na ikonkę skrzynki odbiorczej. Mejl od Izabeli. Ucieszyłem się. Jej listy wprowadzały mnie na „górze światła”. Jej imię było zapowiedzią, że „nie cały umrę”, jeśli nawet moje pisanie okaże się kubłem grafomanii i stekiem spłowiących sensacji – jak twierdzą niektórzy – to zawsze na sądzie ostatecznym będę mógł się zasłonić, że ją ocaliło. Przynajmniej na parę dni.

Witam pana, dziękuję za spotkanie. Pozostanie ono we mnie już na zawsze. Przygotowywałam się do niego pół dnia. Wywróciłam dwie szafy, szukając odpowiedniego ubrania. W końcu ubrałam się inaczej niż zwykle, nie w swoim stylu. Pomyśli pan, że jestem stuknięta, mieliśmy rozmawiać o Jezusie, świętych, o duszy. Szukałam odpowiedniej sukienki. Jeszcze przed nikim się nie otworzyłam tak jak przed panem. Do chwili naszego spotkania byłam szczęśliwa, że mogę z boku, bardzo nieśmiało dotknąć pana twórczości, że jakaś moja myśl, kawałek mojego życia, oczywiście odpowiednio przetransformowany przez Pana, znajdzie się w pańskiej książce. Dla mnie to było jak dotyk nieśmiertelności. Ale dzisiaj chyba już nie chcę. Zaufałam Panu jak nikomu w moim życiu. Ale wtedy coś się stało. Powiedział Pan, że przeczuwa kropelkę mojej duszy. Chyba jednak nie, zresztą moja dusza nie ma tu żadnego znaczenia. Coś się we mnie zablokowało i nie wiem, czy uda mi się to zwalczyć. Nie wiem. Jestem meteopatką, może to ta dzisiejsza pogoda. Miłego dnia i słońca, którego na razie nie widać pod powłoką czarnych chmur. W każdym razie dziękuję za książki, za piękne listy, za rozmowę. To, co mówił Pan o kopalni, było piękne. Izabela.

Podaję telefon mojej przyjaciółki... Może pan do niej śmiało dzwonić.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi Izabeli. Przecież chyba nie o koleżankę. Nie miałem najmniejszej intencji, żeby sprawdzać jej wiarygodność. Dla mnie była to historia piękna, bez względu na to, czy prawdziwa, czy nie. Chciałem – to pewnie jakieś pisarskie zboczenie – o ile to możliwe, zobaczyć rzecz z różnych punktów narracyjnych. Straciłem jej zaufanie. Bardzo przykre uczucie. Pytała mnie, czym jest dla mnie pisanie. Mówiłem, że czasem się czuję, jakbym pracował w kopalni diamentów. Wyprawiam się w głąb ciemności, by znaleźć źródło światła. Czasami jednak może nastąpić zawał albo nie starczy własnego światełka, by przebić się przez mroki.

Zacząłem analizować słowo po słowie nasze spotkanie.

Po dwóch godzinach rozmyślań wystukałem w komputerze jej adres.

cdn

- JAN GRZEGORCZYK ur. 1959, od 26 lat redaktor miesięcznika „W drodze”, ostatnio wydał: *Dziurawy kajak i Boże Miłosierdzie* (2006), *O bogatym młodzieńcu, który nie odszedł zasmucony* (2007) oraz

Cudze pole. Przypadki księdza Grosera (2007).